

Inwentaryzacja krajoznawcza PTTK na Ziemi Jeleniogórskiej w latach osiemdziesiątych XX wieku

Gdy w latach osiemdziesiątych XX wieku Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze podjęło decyzję o rozpoczęciu inwentaryzacji krajoznawczej Polski było to przedsięwzięcie zupełnie nowe, nie spotykane na taką skalę. Oczywiście PTTK obejmujące swym zasięgiem cały kraj podzieliło to wielkie zadanie pomiędzy poszczególne jednostki Towarzystwa. I tak akcja ta dotarła na nasze tereny, ujęte wtedy jako województwo jeleniogórskie. Ponieważ w tamtych latach w Jeleniej Górze działała Regionalna Pracownia Krajoznawcza, to tam zebrali się krajoznawcy by przedyskutować ten nowy pomysł. Początkowo postanowiono wysłać chętnych działaczy na stosowny kurs, który został zorganizowany przez Zarząd Główny PTTK. Niestety okazało się, iż zbyt dużo chętnych do wyjazdu na drugi koniec Polski nie było. Ostatecznie na kurs wyjechałem tylko ja. Po kilku dniach nauki oraz wykonaniu prac sprawdzających w terenie zaliczyłem wszystkie szkolenia i otrzymałem stosowny papier upoważniający mnie do prowadzenia prac inwentaryzacyjnych. Wróciłem zatem w pełni przygotowany do podjęcia stosownych działań. Nie obyło się co prawda bez kłopotów, ale wszystko dobrze się skończyło. Gdy przebywałem na szkoleniu ugryzł mnie pies, który nie chciał byśmy wchodzili na jego podwórkę. Po powrocie do domu, ponieważ rana nie chciała się goić, zgłosiłem się do lekarza. Ten postraszył mnie zastrzykami przeciw wściekliznie, ale kazał poczekać póki nie otrzyma odpowiedzi o psie, który mnie ugryzł. Na szczęście okazało się, że był on szczepiony i nie musiałem sprawdzać jak bolesne były to zastrzyki.



Młodzi pomocnicy podczas mierzenia obwodu drzewa. Foto: Krzysztof Tęcza

Jako młody chłopak postanowiłem działać. Ponieważ powołałem do życia Karkonoski Klub Krajoznawczy poprosiłem jego członków o wsparcie. Zgłosiłem fakt chęci podjęcia prac przy inwentaryzacji pierwszej gminy w naszym województwie do kol. Teofila Ligenzy, który przewodził wówczas jeleniogórskim krajoznawcom. Po otrzymaniu zgody i wykazów znajdujących się na interesującym nas terenie obiektów zabytkowych wyruszyłem na rekonesans. Mieszkając w Zgorzelcu korzystałem z komunikacji publicznej. Co prawda zajmowało mi to nieco czasu ale w teren ruszałem w dniach wolnych od pracy. W miarę możliwości towarzyszyła mi moja żona Ania - wtedy zabieraliśmy ze sobą dzieci.

Pierwszego dnia dotarłem do Włosienia, w którym moją uwagę zwrócił zespół pałacowy. Próbowałem wypytać mieszkańców o pożar jaki miał tu miejsce. Ponieważ były wówczas ofiary śmiertelne ludzie niechętnie o tym rozmawiali. Próżniej, gdy dotarłem do starego młyna nie miałem już problemów by dowiedzieć się co działo się w nim po zakończeniu działań wojennych.

Gdy przybyłem tu za kilka dni rozeszła już się wiadomość o tym, że ktoś obcy chodzi po wsi, fotografuje co się da i zbiera różne informacje. Fakt ten raz był dla mnie korzystny, raz wręcz przeciwnie. Wiele osób chętnie ze mną rozmawiało. Często pokazywali mi ukryte szczegóły, np. wyryte na belkach stropowych daty z okresu ich budowy. Trafiali mi się jednak ludzie wrogo nastawieni. Na przykład gdy robiłem zdjęcie pięknego budynku wyszedł, a właściwie wybiegł z niego, jak się później okazało właściciel posesji, i krzycząc kazał mi natychmiast przestać robić zdjęcia. Mało tego – kazał mi się wynosić i zakończyć oglądanie jego domu. Gdy odchodząc jeszcze robiłem notatki zaczął szcuzć na mnie wielkiego psa. Nieco dalej dowiedziałem się, że jegomość ten jest bardzo wrogo nastawiony do wszystkich, a ponieważ niejednemu wyrządził krzywdę powinienem omijać go z daleka.

Kolejnego dnia, dla odmiany, spotkałem panie opiekujące się kościołem. Te bez problemu pokazały mi świątynię i opowiedziały jak to było gdy postanowiły osiedlić się tutaj. Dzięki wiadomościom uzyskanym od nich znalazłem kilka ciekawych obiektów, do których sam bym nie dotarł. W Zalipiu wypatrzyłem ukryty za domem kamienny wiatrak. Gdy chciałem dotrzeć do jakiś informacji o nim okazało się, że w katalogu konserwatora zabytków nie ma takiego obiektu. Było to więc niezwykle odkrycie. Niestety, mimo uzyskania informacji o istnieniu ciekawych walorów krajoznawczych znajdujących się w lasach, nie miałem możliwości sprawdzenia tego. Połączenia kolejowe i autobusowe nie pozwalały mi na to.

Gdy zebraliśmy wszystkie dokumenty, opisy i zdjęcia, uporządkowaliśmy je i przekazaliśmy do Regionalnej Pracowni Krajoznawczej (jeden komplet) i do biura konserwatora zabytków (drugi komplet). Swoimi osiągnięciami pochwaliłem się na kolejnym zebraniu krajoznawców. Poprosiłem także o materiały kolejnej jednostki administracyjnej, w której mógłbym przeprowadzić prace inwentaryzacyjne. Drugą jednostką administracyjną, którą się zająłem było miasto Zgorzelec. Pomyślałby ktoś, że skoro mieszkam tutaj to nie będę miał żadnych problemów z przeprowadzeniem prac. Nic bardziej mylnego. Okazało się, że to wcale nie takie proste. Nic mi tego nie ułatwiało. W zasadzie wykorzystywałem tylko popołudnia, gdy wracałem z pracy. Często na spacerzy zabierałem ze sobą swoje kilkuletnie dzieci: Sebastiana i Iżę. Pomagały mi one przy pomiarach znalezionych wielkich drzew. Pamiętam, że kiedyś gdy opisałem stary budynek przy ul. Wrocławskiej, dosłownie kilka dni później zrównano go z ziemią. Zdążyłem zatem w ostatniej chwili.

Gdy uporałem się ze Zgorzelcem otrzymałem dokumenty pozwalające mi na wyruszenie do Zawidowa, miasteczka położonego niedaleko Zgorzelca, o dobrym połączeniu komunikacyjnym. Prace na tak małym terenie przebiegły szybko i w ciągu kilku dni udało się je zakończyć. Oczywiście nie obyło się bez ciekawych przygód i poznania wielu uczynnych ludzi. Bardzo pomocnym był fakt, że ludzie pracujący razem ze mną w elektrowni „Turów” mieszkali w Zawidowie. To oni byli moimi głównymi informatorami.

Kolejną jednostką administracyjną, do której wyruszyłem było miasto Lubań. I tutaj nie obyło się bez przygód i ciekawych sytuacji. Najgorsze jednak było przede mną. Otóż gdy spotkaliśmy się na następnym zebraniu starsi działacze zaczęli protestować przed powierzaniem mi dalszych prac. Stwierdzili bowiem, że oni też muszą coś zrobić, a jako ważniejsi powinni mieć prawo wyboru. Dlatego nie dano mi kolejnych dokumentów. I niestety na tym zakończyła się inwentaryzacja krajoznawcza w naszym województwie. Działacze ci bowiem, nie tylko że nie podjęli żadnych prac to skutecznie zniechęcili mnie do dalszej pracy. Myślę, że przyczyną tego była nie tylko ich pycha ale przede wszystkim fakt, że nie zostali oni przeszkoleni i w zasadzie nie wiedzieli jak się zabrać do tak ważnego zadania.

Ja, mimo, że pisałem już o inwentaryzacji, postanowiłem przypomnieć o niej jeszcze raz by przedstawić szczegółowe wyniki prac w poszczególnych jednostkach administracyjnych, oczywiście zachowując w tekstach pisanych w 1987 roku nazwy ulic jakie wówczas obowiązywały. Mam nadzieję, że opisy te pozwolą wszystkim zainteresowanym na sprawdzenie co się zmieniło a co nie.

Krzysztof Tęcza